


NIEWYGODNI

MÓWIĄ PRAWDĘ O WOJNIE

MAGDALENA
RIGAMONTI

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Oni znowu są tak blisko

rozmowa z Jerzym Pucińskim, 2022

Jerzy Puciłowski, ps. „Robert” – ur. w 1927 roku w Białymstoku, w rodzinie z tradycjami rzemieślniczymi. W czasie wojny był żołnierzem Armii Krajowej, członkiem Szarych Szeregów. Uczył się na tajnych kompletach. Aresztowany 28 listopada 1944 roku, po brutalnych przesłuchaniach został zesłany do łagru w Stalinogorsku (obwód moskiewski), gdzie pracował w kopalni węgla. Po wojnie wrócił do Polski, zdał maturę i ukończył SGH. Pracował w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego CIECH, potem w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego CEKOP.

Pamięta pan, gdy weszli?

Po dwa razy wchodzili. I Niemcy, i ruscy.

Ruscy wyzwolili.

W propagandzie wyzwolili, w rzeczywistości zniewolili. Przez nich wojna skończyła się dla mnie dopiero w styczniu 1946 roku. Wtedy wróciłem z Sybiru, z sowieckiego łagru. Wykończony, chory dziesiętnastolatek.

Oni znowu wywożą.

Wiem. Rosjanie znowu wywożą na Sybir. W moim łagrze była duża grupa Ukraińców. Pracowaliśmy niekiedy razem. Dzięki Ukraińcom widzę. W kopalni, na dole ładowaliśmy piasek po powodzi na wagoniki. Straciłem równowagę i upadłem na stalową linę. Wysłuzoną. O grubości półtora palca. Zwijaną z drutu. Sterczały z niej takie cienkie druciki. I właśnie na nie się nadziałem. Wbiły się w okolice oka. Ruski dziesiątnik, który zawiadywał dziesiątką ludzi, mówi, że nic mi nie będzie. No to najpierw jeden Ukrainiec do niego podszedł. Nic. Ruski nie chciał nawet rozmawiać. Potem kilku podeszło. I wymogli, żeby wywieźć mnie na górę i założyć mi opatrunek, bo przecież krew mi zalewała oko, całą twarz mi zalewała. Nic nie widziałem. Uratowali mnie.

W sierpniu 1939 roku miał pan prawie trzynaście lat.

Ale jak się ma trzynaście lat, to już się nie jest dzieckiem. Atmosfera była taka, że wszyscy jesteśmy silni, zwarci i gotowi. Potem ojca zmobilizowano... Wrzesień 1939 roku, na Polskę napadają Niemcy. Siedzą w Białymstoku siedem albo dziesięć dni. I w myśl porozumienia z Sowietami się wycofują. Jednak w ciągu tych dziesięciu dni wystrzelali całkiem sporo Polaków.

17 września 1939 roku do Białegostoku wchodzi Rosjanie.

Do Polski wchodzi. Bolszewicy.

Ulga?

Nie. Poza tym nie mówiliśmy „Rosjanie”. Mówiliśmy „kacapy”. I wie pani, do tej pory tak o nich myślę. Tłuszcza. Nic się nie zmienili. Są tacy sami i teraz.

Zaraz pan powie: swołocz, dzicz.

„Tłuszcza” to polskie słowo. „Swołocz” – rosyjskie. Dzicz, tak, dzicz. To, co robią w Ukrainie, jak mordują, jak gwałcą, jak rabują – tłuszcza, swołocz, dzicz. Jak ich inaczej nazwać, no jak? Dla mnie oni wtedy nie przypominali ludzi, ich zachowanie nie przypominało zachowań ludzkich. Biegali od sklepu do sklepu, kradli. Często widziałem, jak pytali: „A gdzie u was awtoruczki?, Gdzie u was awtoruczki?”. Chodziło o pióro wieczne.

Po co?

A po co były im zegarki? Po trzy na jednej ręce? Po co? Wstyd się przyznać, ale myśleliśmy o nich, że to podludzie. Moja matka opowiadała mi o nich. Chodziła do szkoły w Grodnie, gdzie za

użycie języka polskiego bito po twarzy. Rosjanie mówili, że polski to przekreślony rosyjski język. Jak pani wspomniała, miałem dopiero trzynaście lat, ale też świadomość, że to wróg, oprawca, najazd Hunów, jakichś takich cywilizacyjnie zacofanych.

Baliście się?

Tak, ale to jeszcze nie był paniczny strach. Do 10 lutego 1940 roku, do pierwszej wywózki na Sybir, to jeszcze nie był ten strach. Jak weszła ta ich wielka armia, to wielu białostockich Żydów i Polaków komunistów zrobiło im bramę powitalną. Poszedłem to zobaczyć. Numer naszego domu był 35, a dziadków – 21, tam była nasza piekarnia. Idę do dziadków, patrzę naprzeciw, przy ulicy Traugutta stoi ta brama z czerwonymi sztandarami i gromadą ludzi wykrzykujących powitalne hasła.

Ile osób?

Około setki. Patrzę, idzie kolumna. Żałosny widok. Obdartusy po prostu. Widzieliśmy wcześniej polskie wojsko. Piękne mundury jak z wystawy. A ruscy? Najpierw idzie piechota. Już z daleka słyszeć dziwny dźwięk, jakby żelazo o żelazo tłukło. Z bliska było widać co to. U nas bagnety były nakładane, wciskane na lufę, a u nich takie jakby łamane, trójgraniaste. Do tego ruskie wykonanie. Waliły, jeden kawałek metalu o drugi, więc ruscy wiązali to sznurkami. Dalej idzie kawaleria. Kawaleria!

Śmieje się pan.

Śmieję się, bo oni nogami sięgali ziemi. Te konie to były syberyjskie kucyki. A potem małe wozy, takie kołchozowe furmanczki. Naprawdę żałosny widok. Jeszcze do tego strasznie od nich

śmierdziało. Wszy mieli wszyscy, więc smarowali się dziegciem, smarem takim śmierdzącym. Trzeba wiedzieć, że sowiecka gospodarka znacjonalizowała całą własność prywatną. Dotyczyło to i domów. Najpierw zabrali nam jeden pokój, potem dwa następne. Pierwszy lokator od nich powiedział, że dostał nakaz zamieszkania u nas. Ale jak to, dlaczego? Dla nas to było ogromne zaskoczenie. Po nim przyszedł major artylerii. Jego namiętnością było polowanie. Co kilka dni przynosił różne okazy i rzucał na podłogę. Raz przyniósł wilka, idiota. Po nim nastąpiła rodzina Gapiejewów. Ojciec Gapiejew to był prawdziwy enkawudzista. Jedyne, który u nas mieszkał, taki napompowany propagandą – wychodziła na każdym kroku, w jego każdym zdaniu. Mówił: „U was nie ma żadnej kultury”. Ojciec zapytał, dlaczego tak uważa. A on, że u nas nie ma zegarów na ulicach. Ojciec na to, że nie potrzebujemy na ulicach, bo mamy na rękach. A on, a gdzie u was odwszalnie? Ojciec mówi, że ludzie u nas nie mają wszy, że jest czysto, nie ma potrzeby organizowania odwszalni. Tamten nie daje za wygraną i mówi: „A po co wam takie wielkie konie?”. Ten ich odwrócony sposób myślenia był niesamowity. Potem jeszcze wiele razy miałem z nim do czynienia. W Białymstoku był sklep Społem. Ładny, elegancki. Jak ruscy weszli, to od razu go zamknęli i o 6.00 rano trzeba było stanąć w kolejce z własnym opakowaniem, żeby kupić na przykład taki żółty, źle rafinowany cukier. Ruskich ciągle przybywało. A Polaków ubywało. 10 lutego 1940 roku na lekcję do mojej klasy nie przyszła jedna czwarta koleżanek i kolegów. Jakby zniknęli. To była pierwsza wywózka na Sybir.

Wiedzieliście o tym, że ich wywieziono?

Nie, początkowo absolutnie nic nie było wiadomo.

Co się mówiło?

Nic. Wiedzieliśmy tylko, że ruscy wchodzą do domu i mówią: „Zbierajcie się”.

„Macie dwadzieścia minut”.

Czas na spakowanie zależał od naczelnika konwoju, który z reguły był oficerem NKWD. Jedni dawali dwadzieścia minut, tacy bardziej liberalni – godzinę. Niektórzy nawet doradzali, co wziąć. A byli też tacy, którzy poganiali, byle szybciej, byle większe nerwy, byle niepokój, panika. Po tej wywózce mama zaczęła gromadzić toboły. Na wszelki wypadek. Słyszę, że teraz wielu Ukraińców, Ukrainek miało spakowaną walizkę, torbę na wypadek wojny. U nas jeden pokój był praktycznie zawalony tymi tobołami. Ojciec się śmiał, mówił do mamy: „Myślisz, że ci pozwolą tyle zabrać?”.

Życie w takim strachu, że wejda, że każą się zbierać, jest...

Straszne. Pamiętam to napięcie, ten lęk. W ich ustroju tak zwanej sowieckiej demokracji, w której panował wszechobecny terror, wymyślono szatański powszechny system nadzoru nad mieszkańcami – wprowadzono tak zwane paragrafy, regulujące miejsce zamieszkania każdej rodziny. Mieli w tym dwa cele. Chodziło im o znalezienie miejsca dla swoich, przybywających tysiącami do Białegostoku, a przede wszystkim o rozbicie polskich rodzin. W myśl różnych paragrafów, a było ich wiele, każda rodzina musiała się wyprowadzić o pięć, dziesięć, piętnaście, a nawet pięćdziesiąt kilometrów od miejsca zamieszkania. Do nas przyszedł milicjant i nakazał rodzicom stawić się w komisariacie. Po czym dostali nakaz meldowania się co trzy dni i czekania na ustalenia paragrafu.

Ojciec jeszcze wtedy usiłował prowadzić piekarnię. Gdzieś w marcu albo w kwietniu 1940 roku jeden z tych Rosjan mieszkających u nas, enkawudzista Gapiejew, powiedział, że piekarnia to – uwaga – brudna sprawa. I że prowadzenie prywatnej działalności jest bardzo źle widziane. Zaproponował, że załatwi ojcu pracę u nich, w piekarni w koszarach 42. Pułku Piechoty. Mówił, że u nich liczy się tylko praca, a nie własność, bo to nie jest taka zwykła robota, i że musi za ojca poręczyć. Mówiłem już wcześniej, że to był świat wywrócony do góry nogami. Ojciec po pracy chodził tam na jakieś szkolenia. Przechowywał jakieś idiotyczne dyktanda, w których pisał, że żyjemy pod słońcem stalinowskiej konstytucji. Straszne banialuki. Patrząc na to też z innej strony: że ten komuni- sta z wypranym mózgiem miał ludzkie odruchy, doradził, żeby nie prowadzić piekarni, nie piec ludziom chleba, bo to niebezpieczne i niemoralne – i w ten sposób nas uratował. Co świadczy o tym, że nie był tylko stalinowskim oprychem. Po Gapiejewach zamieszkała u nas rodzina z Woroneża. On zawsze elegancko ubrany, w długim szynelu. Pięknie mówił po rosyjsku. A żona robiła wrażenie co najmniej arystokratki. Wyraźnie różniła się od innych. Często przychodziła na pogaduszki do mojej matki. Mieliśmy drugi dom w Białymstoku, który ojciec zbudował z materiałów po drewnianym kościele w Szudziałowie. Przed wojną kupił je od tamtejszego księdza. Ksiądz chciał zrobić miejsce pod budowę nowego kościoła. W tym nowym domu przed wojną rodzice wynajmowali mieszkania dziesięciu rodzinom. Kiedy weszli Rosjanie, wynajmować już nie można było, bo to niesprawiedliwość przecież. Zresztą dokwaterowywali tam swoich. W jednym z mieszkań na pierwszym piętrze osiedlił się komandir ze swoją żoną urzędniczką. Jak się później okazało, wysoko postawioną urzędniczką. Była

Białorusinką, pochodziła z Borysowa. I między moją mamą a nią wytworzyło się jakieś takie sąsiedzkie koleżeństwo.

Przychodziła do was, rozmawiała szczerze?

Nie, nie. Żadne polityczne tematy, wszystko ostrożnie, bez podtekstów. Baliśmy się przecież. Nad nami mieszkał niejaki pan Leśniak, który chyba pracował w naszym wywiadzie. Miał dwoje małych dzieci. Na moich oczach ich sprowadzali. Pamiętam ten widok – makabryczny. Cały czas ktoś znikał. Naszą rodzinę zza Sokółki zesłano. Do dziś nie wiadomo, co się z nimi stało. W 1941 roku mama powiedziała, że była u nas Białorusinka, zobaczyła nasze toboły w jednym z pokojów i powiedziała: „Bądźcie spokojni, Leokadio Aleksandrowna, was nie wywiozą”. Mama zapytała, skąd wie, a ona, że pracuje w miejskim Komitecie partyjnym. W ich systemie do list wywozowych NKWD potrzebny był akcept partii, a ona pracowała w niej na jakimś eksponowanym stanowisku.

Potem się okazało, że nasza rodzina była już na liście do wywózki i że ona nas wykreśliła. Powiedziała tylko, że mamy się z tego nie cieszyć, nie okazywać żadnej radości. Ba, mamy być nadal posępni. Nam przed tą ostatnią, czwartą wywózką wróciło życie. Dosłownie wróciło.

Ściskaliście się, przytulaliście?

Tak, byliśmy szczęśliwi, że zostajemy, że nie jedziemy.

Czuje pan wdzięczność do tej Białorusinki?

Ogromną. Jakiś czas temu wyczytałem, że spłonął kościół w Borysowie i że szukają środków na odbudowę, to od razu

wysłałem jakieś pieniądze. Tylko tak mogę się odwdzięczyć, bo wstyd się przyznać, ale nie pamiętam jej nazwiska. Szkoda. Pamiętam tylko ten Borysów.

Przeczytaj [więcej](#) o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl

